



Mirosław Derecki

## JAK TO BYŁO NA KURSIE...

Kursy języków obcych organizowane przez Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich mają już kilkuletnią tradycję. Przy ZG SDP w Warszawie działa specjalny Dział Szkolenia Języków Obcych, dwa razy w tygodniu przy ulicy Foksal odbywają się zajęcia dla osób pragnących opanować angielski, niemiecki, włoski, hiszpański lub rosyjski. Nauczanie prowadzone jest nowoczesnymi metodami i przez najlepszych fachowców, sposobem audio-wizualnym. Po trzech latach nauki słuchacze mają ugruntowane podstawy danego języka; w czwartym i ostatnim roku prowadzone są zajęcia konwersacyjne. Wreszcie, dla najlepszych - miesięczne seminaria językowe za granicą. „Anglicy” wyjeżdżają do Londynu, „Francuzi” do Tours, „Włosi” do Perugii, „Rosjanie” do Moskwy. Koszt tych wyjazdów skalkulowany jest w granicach możliwości finansowych przeciętnego dziennikarza tym bardziej, że połowę opłaty pokrywa macierzyste wydawnictwo, a korzyść, jaką wynosi się nawet tylko z miesięcznego pobytu w ojczyźnie studiowanego języka - jest niewspółmierna. Warto przy tym podkreślić, że właśnie Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich rozwinęło najszerzej spośród innych krajów socjalistycznych akcję wyjazdów na „praktyki” zagraniczne. Na przykład w Bułgarii seminaria językowe organizowane są bardzo często w kraju, w którejś z miejscowości wypoczynkowych, w miesiącach wakacyjnych. Oczywiście seminaria zagraniczne dostępne są nie tylko dla słuchaczy studium warszawskiego, ale również dla dziennikarzy z całej Polski, którzy na zorganizowanych przy swoich redakcjach kursach, bądź indywidualnie opanowali znajomość języka w wymaganym zakresie.

Każdego roku, w kwietniu, odbywają się w Warszawie pisemne i ustne egzaminy dla „stolicy i terenu”. O wyjeździe decyduje liczba zdobytych punktów. Za granicą uczestnicy seminariów uczęszczają na letnie zajęcia uniwersyteckie organizowane przez uczelnie dla cudzoziemców. Nie mniejszą rolę odgrywa codzienny kontakt z „żywym” językiem danego kraju, aktywny udział w życiu miasta, do którego się przyjechało. Przysłuchiwanie się rozmowom podróżnych w moskiewskim metrze czy mniej lub bardziej udane próby porozumienia się ze sprzedawcami na paryskim „pchlim targu” pozwalają poznać język

potoczny, zmuszają do przełamania oporów mówienia. Uczestnicy seminarium londyńskiego muszą nawet mieszkać w prywatnych kwaterach, „przy” angielskich rodzinach, a nie w hotelach czy domach akademickich, żeby jeszcze bardziej odizolować się od własnego środowiska i być zmuszonym do stałego obcowania z angielszczyzną.

Ostatnim, może nie zamierzonym przez organizatorów, walorem zagranicznych wyjazdów jest fakt, że uczestnicy seminariów, nieraz już w zupełnie dojrzałym wieku osobnicy, obarczeni rodzinami i na co dzień ślęczący nad poważnymi zagadnieniami życia politycznego, gospodarczego, wracają nagle, na krótki okres, do beztróskiego życia studenckiego. Trwającego jednak akurat tyle, żeby nie stało się zbyt uciążliwe.

W bieżącym roku akademickim, będąc uczestnikiem IV Seminarium Językowego Dziennikarzy Krajów Socjalistycznych w Moskwie, miałem możliwość zetknięcia się po dłuższej przerwie znowu ze „społecznością studencką”, co prawda dość osobliwą, bo na ogół grubo już po trzydziestce. Stąd - „niepoważny” być może chwilami dalszy ciąg tego artykułu...

Przyjeżdżamy pierwsi. Grupa polska liczy 22 osoby. Później dobieje jeszcze piętnaścioro Czechów i Słowaków oraz czwórka Bułgarów. Rozpiętość wieku znaczna, od kolegi, który w mocno już zaawansowanym wieku maszerował ongiś spod Moskwy na Berlin, do koleżanki, która wojnę zna tylko z opowiadań. Konfrontacja poglądów dwóch krańcowo różnych pokoleń na wiele ważkich problemów mogłaby więc stworzyć podstawę do licznych i poważnych dyskusji, gdyby nie fakt, że nagle z grupy wyłania się dwóch globtrotterów. Jeden - uczestnik wyprawy do Bieguna Południowego drugi - znawca nocnego życia portów Indonezji. Stąd przez pierwsze wieczory, lekko rozbici aklimatyzacją (z polskiej jesieni wpadliśmy nagle w moskiewską zimę) zamiast zwiedzać miasto, będziemy w hotelu wysłuchiwać długich monologów naszych podróżników. Nie trzeba dodawać, że większą popularnością cieszyły się zwierzenia na temat nocy sumatryjskich.

Hotel, w którym zostaliśmy zakwaterowani, znajduje się prawie w samym centrum Moskwy, no wyspie, naprzeciw Kremla. Przez całą noc dochodzą nas dźwięki spasskich kurantów, zaś najbardziej odporni na mróz mają niedaleko do oglądania - o północy - zmiany warty na Placu Czerwonym, co jest podobno w Moskwie „w dobrym stylu”. Stara „Gastinica Buchariest” pełna jest obcojęzycznej mowy. Poza naszymi grupami mnóstwo tutaj zagranicznych turystów. Mniej więcej co dwa tygodnie słychać na korytarzach również rodzimy język „orbisowskich” Poloków. Przy wszystkich owych turystach my czujemy się prawie autentycznymi studentami. Choćby dlatego, że mieszkamy w pokojach czteroosobowych, co ma jednak tę dobrą stronę, że poważnie wzmacnia kieszeń...

Zajęcia odbywają się w starym budynku Uniwersytetu Moskiewskiego im. Łomonosowa, przy Placu Maneżu, ostatnio przemianowanym na Plac 50-lecia Wielkiej Rewolucji Październikowej. Nowy, ogromny gmach MGU (Maskowskij Gosudarstwiennyj Uniwersitet), dobrze znany z fotografii, mieści się na peryferiach Moskwy na Leninowskich Wzgórzach. Aby się tam dostać, trzeba przejechać siedem przystanków metrem i jeszcze dwa - autobusem. Nawet jak na stosunki moskiewskie - odległość ogromna. My, na szczęście, jako słuchacze Fakultetu Żurnalistiki, mamy na zajęcia dosłownie trzy kroki, to znaczy około dwudziestu minut szybkiego marszu..! Codziennie w drodze, na MGU mijamy ogromny gmach GUM-u (słynny Główny Uniwersytecki Magazyn), co jednego z kolegów, popularnego „Zenię”, „natchnęło” do omyłkowego oświadczenia iż studiuje właśnie GUM!

No podstawie „klasówki”, którą zorganizowano zaraz pierwszego dnia dla zorientowania się, jaki poziom językowy reprezentujemy, podzielono nas na starszaków, średniaków i maluchów. Do tych ostatnich zakwalifikowali się (o ironio) obaj „globtrotterzy”. Czesi i Słowacy znaleźli się w grupie zupełnie wyjątkowej - przy całej znajomości języka musieli się poddać szczególnym ćwiczeniom mającym na celu wyeliminowanie czeskiego „zaśpiewu” w ich rosyjskiej mowie. Ale „czeski rosyjski” jest i tak jeszcze niczym w porównaniu z „proiznoszenijem” Mongołów lub Murzynów, których pełno na uczelni i którzy studiują tutaj dziennikarstwo. Nawiasem mówiąc, Fakultet Żurnalistiki wobec naszego Studium Dziennikarskiego w Warszawie, to kolos. Republiki cierpią na niedostatek dziennikarzy i chociaż studiuje około 2 tys. osób, absolwenci nie mają trudności ze znalezieniem pracy. W ciągu lat nauki studenci, niezależnie od zajęć teoretycznych, przechodzą praktykę w uczelnianej drukarni, studio radiowym i telewizyjnym.

Dyplomowany dziennikarz powinien znać przynajmniej dwa języki zachodnioeuropejskie. Stąd na korytarzach słyszy się często mowę angielską czy francuską. Te nieustające ćwiczenia językowe stały się kiedyś przyczyną zabawnej pomyłki jednego z naszych czeskich kolegów, z urodzenia - Węgry: trafiwszy jeszcze na początku kursu do jednej z sal Wydziału, zupełnie nie mógł pojąć, dlaczego „koledzy” zwracają się do niego w łamanej angielszczyźnie. Lekko otumaniony, ale zarazem oburzony, zawołał wówczas po... węgiersku: „w końcu przyjechaliśmy tutaj po to, żeby nabierać wyprawy w rosyjskim..!”

Z biegiem czasu podobne nieporozumienia zdarzały się coraz rzadziej, a język rosyjski brzmiał w ustach uczestników seminarium coraz czyściej.

Co nie przeszkadza, iż w pewnym momencie przeżyliśmy „kryzys” językowy polegający na zdaniu sobie świadomości z tego, jak daleka jest droga od „biegłej znajomości języka” do dogłębnej jego znajomości...